OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 5/17 Czerwca 1868 roku.

Nr 24. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

FILIP GIRARD.

Niejednokrotnie już podawaliśmy życiorysy znakomitych przemysłowców i wynalazców, którzy ustawiczną pracą powodując się z niezasobnego stanu doszli do tego, iż mogli robić dobrze dla bliźnich, co jest podobno najszczytniejszem szczęściem dla człowieka. Obecnie dajemy tu życiorys męża, który ze trzech względów powinien nas interesować: raz, jako wielki wynalazca na polu mechaniki, podrugie jest to człowiek który żył z nami i ślady swej działalności na naszej ziemi pozostawił, a potrzecie jako wzór wielkiej wytrwałości, który niepoprzestał pracować ciągle w obranym kierunku, niebacząc na to że pomysły jego innym miljony dające, jemu ledwie do wyżycia mizerne środki dały. Człowiekiem tym jest Filip Żyrard mechanik i wynalazca wielu machin i jednego instrumentu muzycznego. Życiorys zaś czerpiemy ze znanej u nas książki p. n. *Pomoc Własna*, która mieści życiorysy wielu innych zasłużonych ludzi, którzy ową zasługę zdobyli sobie sami, własną pracą, własną pomocą.



Filip Girard.

Owóż Żyrard urodził się wroku 1775 w Lourmarin (Lurmarę) w departamencie Vaucluse (Wokluz) we Francji. Jego rodzina była prawdziwą opatrznością dla wioski którą zamieszkiwała. Ojciec Filipa człowiek pełen rozsądku, czuwał nad kształceniem swych synów, z których najmłodszy obdarzony był tak rozległą inteligencją i tak wielkiemi zdolnościami, że mógł dnia jednego oddawać się mechanice i zarazem pisać poezje, malować obok najprzeróżnieszych zajęć. Największe jednak zamiłowanie okazał do wynalazków; powiadają też, że będąc jeszcze w szkołach w Montpellier (Monpellie) i mając lat 14, fali morskich, które zwróciły jego uwagę, postanowił użyć jako naturalnego motora w mechanice. Jakoż miał wynaleść machinę bardzo dowcipną, której ruch nadawał przypływ i odpływ morza.

Podczas swego pobytu w Monpellie rozpoczął uczyć się medycyny, lecz wktótce opuścił wydział lekarski, aby poświęcić się rysunkom i rzeźbiarstwu. Kiedy wybuchła rewulucja, Żyrard uszedł z dwoma braćmi do Mahon na wyspie Minorce gdzie zostawał jakiś czas żyjąc z pracy rąk swoich. Filip umiał spożytkować zdolność do rysunków, malował więc portrety i krajobrazy. Wkrótce bracia Żyrardowie udali się do Liworno we Włoszech, gdzie Filip korzystając ze swych wiadomości chemicznych, zajął się wyrobem mydła. Odtąd poświęcał się on bez przerwy zastosowywaniem nauk do przemysłu.

Lecz jego różnorodność wiedzy i zdolność niedozwoliła wytrwać w pracy na jednej drodze. Zajmując się więc fabryką mydła, wynalazł machinę *do ociosywania bloków* na posągi i drugą *do rżnięcia kamieni.*

Kiedy burza rewolucji cokolwiek przycichła, Żyrard wrócił do Francji i osiadł w Marsylji, gdzie założył fabrykę chemiczną. Miał wtedy lat 20. Wkrótce jednak nowe rozruchy zmusiły go do opuszczenia Marsylji, i szukania schronienia w Nicei, gdzie konkurował o wakującą katedrę nauki chemji i której dla zbyt młodego wieku nie otrzymał.

Pod konsulatem porządek społeczeński utrwa-

liwszy się, dozwolił Żyrardowi powrócić do Marsylji, gdzie z wielkiem powodzeniem wykładał kursa chemji. Udał się potem do Paryża, jako miejsca gdzie było pole do rozwinięcia swych zdolności ludziom utalentowanym. Tam też Żyrard dokonał wiele znakomitych wynalazków, z któremi jego imie nazawsze jest złączone. Znaczną część tych wynalazków zaprodukował na wystawie w r. 1806, a między innemi lunetę zbliżającą gdzie flintglass był zastąpiony przez ciecz, blachy polerowane środkami stosnoszemi, oraz lampę hydrostatyczną, które to przyrządy dotąd są w powszechnem użyciu. Uwaga Żyrarda zwrócona też była na ulepszenia w konstrukcji machin parowych. Prace jego w tym celu dokonane uwieńczyło w r. 1809 złotym medalem Towarzystwo zachęty narodowego przemysłu we Francji. Lecz jakkolwiek Żyrard zyskał pierwszą nagrodę i razem z nią pewien rozgłos dla swego imienia, dalekim jednak był od świetnej karjery, na jaką jego zdolność zasługiwała. Nie ciągnął on korzyści ze swych wynalazków, lecz drudzy którzy je w praktykę wprowadzali; a chociaż genjusz jego był uznany, zostawał jak wprzódy w stanie zbliżonym do ubóstwa.

Na wiosnę w r. 1810 po sześciu latach nieustannej pracy, bracia Żyrard powrócili pod dach rodzinnego domu w Lourmarin, ażeby użyć po znojach wytchnienia. Jednego poranku, kiedy rodzina siedziała przy śniadaniu, ojciec Filipa otworzywszy Monitora z 12 Maja 1810 r. przeczytał dekret cesarski, przyrzekający miljon franków nagrody wynalazcy, jakiejkolwiek narodowości, za machinę do przędzenia lnu. Starzec oddał dziennik synowi, mówiąc: „Filipie to się ciebie dotyczy." Zawezwanie zrobione do talentów wynalazczych nie tylko Francji ale całego świata, było dla Filipa bodźcem, pod wpływem którego wziął się natychmiast do rozwiązania zagadnienia, jakie mu było przedstawione. Rozbierając przedmiot, przez dzień i jednę noc, przyszedł na śniadanie, a uściskawszy ojca, rzekł spokojnie:

— Mój ojcze, przyrzeczony miljon jest naszym.

Wynalazek podobnej machiny w tej epoce był niezmiernej doniosłości dla Francji. Len stanowił główny jej produkt; że zaś z powodu ówczesnej wojny z Anglją, nie można było otrzymywać dostatecznej ilości bawełny, Napoleon pragnął usilnie aby można było prząść len na takich machinach, jakich używali Anglicy do wyrobów bawełnianych. Filip Żyrard był jedynym wynalazcą, który odpowiedział na wezwanie Cesarza. Nie potrzebował Żyrard wiele czasu dla zbudowania i udoskonalenia modelu machiny swego pomysłu.

Jakoż dnia 18 Lipca tegoż 1810 roku, uzyskał list przyznania wynalazku. Przyjaciele Żyrarda utrzymują że machina ta do przędzenia lnu posiadała wszelkie warunki do spełnienia wskazanego celu, ulepszając nawet metodę przędzenia, a zatem że wynalazca miał niezaprzeczone prawo do nagrody cesarskiej, która go wszakże minęła.

Bracia Żyrard natenczas przedsięwzieli sami korzystać z pomysłu. W roku więc 1812 założyli w Paryżu na ulicy Meslay, pierwszą przędzialnię lnu, a następnie drugą na ulicy Charmne. Obie te fabryki były prowadzone z powodzeniem, kiedy nastąpiła katastrofa Napoleona, która w r. 1814 spowodowała ruinę fabryk we Francyi. Filip został uwięziony za długi, a mimo tego duch jego wynalazczy nie ustał na chwilę, gdyż kiedy armje sprzymierzone ciągnęły do Paryża, Żyrard wymyślił machinę, mogącą wyrzucać 60 pocisków armatnich na minutę.

W roku 1815 Żyrard udoskonalił swoję machinę i przedstawił ją rządowi, lecz i teraz bezskutecznie. Zawezwany przez cesarza Austryjackiego, dla założenia przędzalni w Wiedniu, dokonał tego w zakładach cesarskich, przenosząc pożyteczny wynalazek na obcą ziemię, gdy go własna ojczyzna nie przyjęła. Dziwne bo spotykały losy Żyrarda, że kiedy w Austryi oceniono i w praktykę wprowadzono jego machinę, we Francyi komisya uznała ją za nieodpowiednią celowi, a nawet potępiła jako psującą len, oraz wadliwie przędzę wyrabiającą oświadczając że nie zasługuje aby jej model pozostał w konserwatoryum sztuk i rzemiosł. Tymczasem Żyrard rozwijał z powodzeniem fabrykę lnu w Hirtembergu, zajmując się ważnemi wynalazkami. Wtedy to podał myśl kotłów tubularnych, które były zastosowane wprzód do machin parowych na statkach żeglujących po Dunaju i które uległszy różnym modyfikacyom, powszechnie teraz przyjęte zostały.

Z Austryi powołany był Girard w r. 1827 do Królestwa Polskiego. Ówczesny minister skarbu ks. Lubecki pragnąc rozwinąć przemysł krajowy, a mianowicie górnictwo rządowe, postanowił korzystać z talentu Żyrarda w tem ważnem dla kraju przedsięwzięciu. Mianowany naczelnym inżynierem w tej gałęzi służby, Żyrard pełnił te obowiązki, kiedy górnictwo przeszło pod zarząd Banku Polskiego, Steinkeller gorliwy również o rozszerzenie w kraju przemysłu, podjąwszy się osuszenia kopalń Olkuskich, dla zasycenia galmanem hut cynkowych w Dąbrowie, które wówczas wziął w administracyą poręczającą, popierał pomysł Żyrarda co do budowy nowej konstrukcyi machin parowych, użytych do wypompowania wody z wspomnianych kopalń.

Między wielu przemysłami jakiemi się odznaczał umysł przedsiębierczy Filipa, wspomnieć należy fortepian, którego wadliwy mechanizm nie uszedł uwagi znakomitego mechanika. Wiadomo że już wielu ludzi fachowych kusiło o się nadanie temu instrumentowi tak przeważne miejsce dziś w muzyce zajmującemu, tonu, któryby wedle woli lub potrzeby przedłużać można, czego brak dotąd jego ujemną stronę stanowi. Otóż Żyrard postanowił niedostatek ten usunąć i w tym celu powziąwszy swój plan z ówczesnym fabrykantem Zdrodowskim zbudował instrument, którego młoteczki przy klawiszach wprawione w ruch za pomocą oddzielnej machinerji miały ten cel osiągnąć. Fortepian ten nie odpowiadał jeszcze zadaniu—dał tylko świadectwo, że Żyrard nawet w gałęziach obcych dla niego, szukał urzeczywistnienia myśli nowych, któremi duch jego był napełniony.

Najważniejszą pamiątką po sobie w naszym kraju zostawił Żyrard, wybudowaniem fabryki lnianej przez Bank Polski, która od jego imienia Żyrardowem jest nazwaną, a która pod nowemi dziedzicami Ditrich i Hille otrzymawszy znakomite rozmiary, z wielkim pożytkiem dla kraju pracuje.

Do wynalazków Żyrarda należą jeszcze: globusy szklanne, matowe do oświetlania, przyrząd do wytłaczenia soku burakowego, koło hyrauliczne do

użytkowania przy wielkich spadkach wody i ulepszenia w wyrobie strzelb.

Czy we Francyi, czy zdala od swej ojczyzny wszędzie niepowodzenie ścigało kroki niespracowanego Żyrarda. Od początku do końca swego zawodu, miał za towarzysza życia ubóstwo.

Po ośmnastu latach pobytu w Królestwie Polskiem, stary i zmęczony ciągłemi wysiłkami, opuścił Warszawę i wrócił do Francyi, aby złożyć na rodzinnej ziemi swe kości. Umarł spokojnie w roku 1845 w wieku 70 żywota pełnego trudów, nienagrodzony za nic według zasługi; — nie doczekawszy nawet tej pociechy, aby ziomkowie jego uznali w nim genjusz wynalazcy, nie otrzymawszy cesarskiej nagrody, o której do śmierci marzył iż mu się słusznie należy, a której cząstkę dopiero w ostatnich czasach przyznano jego sukcessorom.

Al. M.

CZARY.

O bracia, — o drodzy, gdzie wasze dnie młode,
Czy znikły jak dymy ofiary?
Słuchajcie, bo dziś wam przed oczy dowiodę —
Pokażę, że jeszcze są czary....
Czem dla was rozkoszne wspomnienia tej chwili
Kiedyście na łonie u matki,
Pacierza słów świętych z jej ust się uczyli,
I w polu zrywali bławatki?
Czem dla was w postaci niebianki dziewica,
Co serce roztapia choć z stali,
I ogniem kipiąca jej czarna źrenica,
Co pierś aż rozdyma i pali?
Czem dla was ta wielka, ta święta godzina,
Kiedy wam, raz pierwszy w snach życia,
Pod skrzydłem aniołów zstąpiła dziecina,
I kwilić poczęła z powicia?
Czem dla was śpiew ptasząt, szum lasów i gajów,
Czem dla was jęk dzwonu na wieży,
I piosnka pastusza i świergot ruczajów,
I cmentarz z mogiłą macierzy?
Ach, jeśli wam jeszcze wykrzesze się w duszy,
Choć iskra pamięci i wiary,
To każdy z pewnością tę iskrę poruszy,
I powie: to czary! to czary!
To czary, co często w upadku godzinie,
Splamione podnoszą nam czoła,
Co nieraz we wspomnień tęczowej krainie
Z szatana zrobiły anioła.

Fr. Gumowski.

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.—patrz N. 23-ci).

Nikt nie rozumiał tej sceny. Ów starzec, któryby mógł ją objaśnić, który jednem słowem, w najuroczystszej chwili rzuconem, tak potężne wywarł na oskarżonego wrażenie, już nie znajdował się w sali.

Obrońca postanowił użyć i tej zagadkowej okoliczności na korzyść obwinionego. W krótkiej, ale gorącej improwizacji powiedział więcej i silniej do uczucia sędziów przemówił, niż w całej długiej obronie.

— Panie prokuratorze, —zawołał,— twierdziłeś że oskarżony nie jest zdolnym do żalu, oto masz dowód jakiem wrażeniem bolesnem i okropnem przejmuje go wspomnienie jakiegoś błędu młodości, którego prawo dosiądz nie jest zdolne. Ktoś z głębi sali wymówił wyraz „podłość”, oskarżony spojrzał i spostrzegł, że kiedyś może dał temu co to powiedział prawo do ciśnięcia sobie w oczy tego wyrazu, i wyraz ten jak piorun powalił go na ziemię. Wysoki sądzie, temu człowiekowi od dwóch miesięcy codziennie, i tu nareszcie, w długim i gruntownym wywodzie, ciskano w oczy wyrazy: „zbrodnia, mord, rabunek,” a on stał niezachwiany i niewzruszony, silny tem, że ci co go oskarżają są w błędzie. Albo dusza człowiecza jest najnielogiczniejszym i najniedorzeczniejszym stekiem niekonsekwencji, bezładnym chaosem niczem z sobą niespojonych i rażąco sprzecznych uczuć i pojęć, albo ten człowiek, gdyby raz usłyszał te wyrazy słusznie do siebie powiedziane, upadłby pod ich ciosem jak gromem rażony. Sędziowie! droga wasza jest wytkniętą... czyn tajemniczy, za który z pośród tego audytorjum spotkał go wyrzut straszny ale zasłużony, jest sprawą między Bogiem a nim...nie wam mieszać się do tej sprawy, Bóg ją osądzi, a Bóg żałującym przebacza. ...Co do tej sprawy, która nas obchodzi, wypadek ten jest stanowczym i niezwalczonym dowodem, że oskarżony jest niewinnym, że nie był zabójcą i złodziejem, że cobądź może mieć na sumieniu, w obec sprawiedliwości ludzkiej jest człowiekiem bez zarzutu i winy, a w obec sprawiedliwości bożej, po tym żalu jaki okazał, może być i będzie oczyszczonym.

Słowa te nie na wszystkich wywarły wpływ taki, na jaki liczył obrońca. Dla audytorjum nienależącego do sądu były one jakby wyrokiem. Wszyscy, nie wyłączając pana Antoniego i pana Sotera dwóch głównych świadków, uznali w duchu, że Opędzki nie popełnił zabójstwa. Prokurator jednakże inaczej zapatrywał się na to, a jakie myśli zaszły wypadek i zdanie obrońcy wzbudziły w umyśle sędziów, o tem dopiero wyrok miał powiedzieć.

Oskarżyciel w duchu swojego obowiązku, bez uniesienia ale z zimną i dokładną logiką, przedstawił odezwanie się Opędzkiego i jego omdlenie jako rzecz wcale wpłynąć nie mogącą na bieg sprawy i zmianę przekonania sędziów.

— Nic dziwnego,—mówił,—że oskarżony tak się przejął usłyszanym wyrazem: „podłość,” i że to na nim takie wywarło wrażenie. Postawmy się na chwilę w jego położenie. Dzięki wymownej obronie mego szanownego kolegi, któremu pierwszy oddaję sprawiedliwość, że poświęcił niewdzięcznemu zadaniu zwalczenia opartych na oczywistości zarzutów, znakomity talent i wiele prac, godnej zaprawdę lepszej sprawy, dzięki tej obronie powtarzam, oskarżony mógł mieć nadzieję, że wysoki sąd przychyli się do głosu obrońcy i uzna jego niewinność. W tej nadziei, zgodnie z duchem swego systemu zapierania się do ostatka i odgrywania roli człowieka pełnego zasad honoru, zaczął przemową, w której dowodził, że woli karę niesłuszną, niż pozostawienie w podejrzeniu. Liczył wiele na afekt tej przemowy, kto wie, może budował na niej wszystko. Tymczasem, kiedy z patetyzmem i napuszeniem napomykał o swych przewinieniach młodości, ktoś z sali rzuca mu wyraz: „podłość.” Spojrzał i spostrzegł, że ten co to powiedział miał do tego prawo, że zapytany odkryje nowy brud jego żywota. Ujrzał nagle zwalonym cały gmach swoich nadziei, ujrzał się potępionym nieodwołalnie. Któż wie jaka zbrodnia kryje się pod tym wykrzyknikiem, który powtórzył, któremu słuszność przyznał w obłąkaniu? Kto wie, czy ta zbrodnia, którą sam nazwał straszniejszą od

mordu i grabieży, należy do takich, które są tylko tajemnicą między nim a Bogiem, w które my mieszać się nie mamy prawa? Wszystko to są tylko przypuszczenia, domysły, gołosłowne twierdzenia człowieka zostającego pod zarzutem, popartym oczywistemi dowodami, człowieka, mimo wszelkich wywodów obrony, ujętego na miejscu zbrodni, natychmiast po jej spełnieniu, jeżeli nie w chwili spełniania. Nie! wysoki sądzie, nie takich potrzeba rzeczy, ażeby regularny wymiar sprawiedliwości zatamować i powstrzymać. Jeżeli jaka z tego wypadku wypływać może wskazówka, to ta jedynie, że ten człowiek nie zasługuje na litość, że jego sumienie przeciążone zbrodniami, że sam woła o karę i jej słuszność uznaje, i że go potępić należy, jako winnego rozmyślnego, podstępnego zabójstwa, dokonanego w celu popełnienia rabunku, jako winnego dalej dokonania tego rabunku, przy wielu okolicznościach obciążających winę, a w obec żadnej łagodzącej.

W parę dni po tem, zapadł wyrok obszernie wymotywowany i przychylający się w zupełności do wniosku prokuratora.

Opędzki skazanym został do ciężkich robót w kopalniach na czas nieograniczony.

Słabemu jeszcze w skutek doznanego wzruszenia, zakomunikowano protokularnie decyzją sądową, dodając, że ma prawo apelować od niej do wyższego sądu, w terminie prawem przepisanym.

— Apelować, gdy Bóg mnie chciał ukarać, — odpowiedział,—i kiedym na tę karę zasłużył, choć nie w ten sposób jaki mi zarzucono... nie... toby się na nic nie zdało...przyjmuję wyrok stanowczo.

Cios ten złożył go chorobą, która zagrażała jego życiu, tak, że o wysłaniu go na miejsce przeznaczenia przez długi czas myśleć nawet nie było można.

VIII.

Jeżeli na kim sprawa Opędzkiego wywarła niezmierne wrażenie, to na dwóch ludziach, których przypadek postawił w takiem położeniu, że stali się mimowolnie główną przyczyną uwięzienia, a więc i skazania obwinionego.

Obydwaj świadkowie z Tamki byli ludźmi prawemi i zacnemi, obydwaj po raz pierwszy w życiu byli wzywani do sądu i to jeszcze jako świadkowie w sprawie takiej ogromnej wagi, jak morderstwo, obydwaj wreszcie po raz pierwszy znajdowali się na posiedzeniu sądowem, na którem los człowieka się rozstrzygał, i tak fatalnie miał rozstrzygnąć.

Rzecz naturalna, że ta sprawa ogromnie na nich oddziaływała. Drżeli i o to, żeby niedokładnem zeznaniem nie wprowadzić w błąd sprawiedliwości, dopominającej się kary za zbrodnię, która według katechizmu woła o pomstę do Boga, za zbrodnią jedną z najstraszliwszych, jakich człowiek dopuścić się może,— drżeli i o to, żeby ich zeznanie nie przyczyniło się do potępienia człowieka niewinnego, a rzeczywistemu zbrodniarzowi nie zapewniło bezkarności. W ciągłej obawie czy swego sumienia nie obciążają mimowiednie, zeznania swoje składali z największą ostrożnością i trwogą, starali się, o ile to było podobnem, badać tę sprawę, wiedzieć o wszystkich jej pojawach, ażeby w sobie wyrobić moralne przekonanie o winie lub niewinności oskarżonego, ażeby siebie samych przekonać, że ich zeznania nie były ani na jedną, ani na drugą stronę niesłuszne lub przesadzone, że sam fakt ich świadczenia ani nie powiększał, ani nie zmniejszał winy obżałowanego. Nigdy podobno sprawiedliwość nie miała do czynienia ze świadkami, którzyby sumienniej i bezstronniej rozumieli i pragnęli spełniać swoje zadania, którzyby je z większą wrażliwością brali do serca.

Sprawa ta stała się prawie wyłącznym przedmiotem ich rozmów, i jedynem zaprzątnieniem ich myśli. Ilekroć razem się znaleźli rozbierali i ważyli każde słowo, jakie mogłoby słuszniej i dokładniej oddać samą prawdę wypadku, bez żadnej mimowolnej przymieszki osobistych, opartych na własnem rozumowaniu lub domyśle, przekonań. Każdy szczegół zdarzenia obgadanym był tysiąckrotnie, to co powiedzieć mieli układali sobie naprzód, powtarzali po sto razy, ucząc się tego nieledwie na pamięć.

Niedosyć na tem. Nie poprzestając na własnem przekonaniu radzili się swych spowiedników, zasięgali zdania ludzi poważnych, konferowali z swemi żonami, pytali o opinją przyjaciół.

Mimo to wszystko, nie byli jeszcze spokojni. Sumienia ich stały się niezmiernie drażliwemi w tej sprawie.

W pierwszej fazie procesu ich zeznania najwięcej ważyły na szali sprawiedliwości na niekorzyść obwinionego. Nie mogli o tem niewiedzieć i niezmiernie ich to dręczyło. Nieraz mało do gniewu pomiędzy niemi nie przyszło.

— Wiecie, panie Soterze,—mówił pan Fiksz,— że gdyby nie wy, tobyśmy sobie byli nie napytali tej biedy.

— Jakto znów?—bronił się pan Soter zdziwiony,—a cóż ja tutaj zawiniłem?

— Co was za licho zkusiło obstawać przy tym zakładzie czy przez Topiel, czy przez Aleksandrję bliżej?

— Przypomnijcież sobie, panie Antoni, żeście to wy zaproponowali zakład.

— Prawda, że ja, ale wyście go wzięli na serjo, kiedy ja mówiłem na żarty.

Od słowa do słowa przyszło do wymówek i wyrzutów, i niewiadomo na czem byłoby się to skończyło, gdyby pan Soter starszy, a więc umiarkowańszy nie odezwał się w ten sposób:

— Dajmy temu pokój, bo to głupstwo. Kto zawinił, zawinił. Mniejsza o to, może i ja. Alem też i połowę biedy przyjął na siebie dobrowolnie, bo gdybym był naprzeciw wam nie poszedł na Topiel, tobyście sami tylko wplątali się w kłopot, i kto wie, czybyście jeszcze gorzej nie wyszli.

— To prawda,—przyznał pan Fiksz.

Niekiedy przychodziły im dziwne i oryginalne skrupuły sumienia.

— Wiecie, panie Antoni,—mówił naprzykład pan Kukuli;—że my jednak przez tę sprawę jesteśmy jak między młotem i kowadłem.

— Oj, macie rację, panie gospodarzu,—wzdychał starszy felczer.

— I mimowoli, —prawił dalej pan Soter, — czy chcemy, czy nie chcemy, to duszę zgubić będzie trzeba.

— Czyją duszę?—spytał pan Fiksz,—tego złapanego?...A cóż to ma do duszy?...jeżeli będzie szczerze pokutował, to mu Pan Bóg winę przebaczy, a jeśli kara ludzka spadnie na niego, to właśnie najlepsza do pokuty sposobność.

— Nie o niego też tu idzie, tylko o nas. My się, powiadam wam, gubimy, — rozumował właściciel domu,—wszak powiedziano jest: nie czyń drugiemu co tobie nie miło, a czy byłoby nam przyjemnie żeby kto na nas zeznawał takie rzeczy, jak my na niego zeznajemy?...

— No jużciż gdybyśmy popełnili zbrodnią... — zaczął pan Antoni.

— Tak, gdybyśmy popełnili, trudnoby nam było gniewać się na tych, co przeciw nam świadczą, ale czyż my wiemy, czy on popełnił tę zbrodnię, czy nie?...

— A któżby inny mógł popełnić?...

— A moglibyśmy przysiądz, że nikt inny popełnić nie mógł?...

— I to prawda, że nie.

— Przytem, czy jest zbójcą, czy nie, jest naszym bliźnim,—konkludował pan Soter,—a powiedziano, żeby bliźniemu nic niemiłego nie czynić; każdemu bliźniemu, a nie tylko temu co nie jest zbójcą...Przyznajcież sami, że jeśli on winny, to mu jeszcze tymbardziej niemiłe są nasze zeznania.

— Et! troi wam się, panie Soterze — odparł pan Fiksz,—zapominacie chyba, że powiedziano także: nie mów fałszywego świadectwa.

— No, a zkądże mam wiedzieć jakto jedno z drugiem pogodzić, i czy nasze świadectwo nie jest fałszywe?...

— Pogodzić jaknajłatwiej. Dosyć połączyć te dwa zdania: nie czyń co bliźniemu nie miłe, ale fałszywego świadectwa nie mów. Co zaś do tego co wy powiadacie, że my nie możemy wiedzieć czy nasze świadectwo nie jest fałszywe, to już doprawdy nie wiem jak to chcecie rozumieć. Mówimy przecież czystą i świętą prawdę.

— Tak, ale z tej prawdy wynika, że on winien, a jeżeli on nie winien, to ta nasza prawda jest fałszem.

— Nie pojmuję tego zupełnie, wszakże mówimy, cośmy na własne oczy widzieli, więc fałszu powiedzieć nie możemy.

— Bogać tam, panie Antoni. Ot widzicie, naprzykład słońce, z rana jest na wschodzie, a wieczór na zachodzie, każdyby z nas przysiągł, gdyby tylko oczom wierzył, że się kręci dokoła ziemi. A tymczasem Kopernikowi pomnik wystawili za to, że powiedział, że słońce stoi, a ziemia się obraca, chociaż ja dziś jeszcze gotów byłbym przysiądz, że mój dom od lat trzydziestu jak go kupiłem, ani o cal się nie posunął. (*Dalszy ciąg nastąpi.*)

CZARODZIEJSKA DOLINA.

(Ciąg dalszy—patrz Nr. 23-ci).

Gdy troskliwa matka zajęta była rozdzielaniem łupu pomiędzy swoje małe, my tymczasem myśleliśmy jakimby sposobem złapać te ostatnie, które z biedy mogłyby zastąpić świnie. Mówię z biedy, mięso ich bowiem wówczas tylko jest znośne, gdy się je odpowiednio przyprawi i urządzi zaraz po zabiciu. W przeciwnym razie, dzięki szczególnym gruczołom, które się na grzbiecie tych zwierząt znajdują, całe ciało w godzinę po zabiciu przejmuje się odrażającą wonią. Gdy się odejmie te gruczoły, mięso podobne w smaku do zajęczego. Ale nie inaczej moglibyśmy złapać młode, jak zabijając matkę; stare bowiem pekari nie tylko że są niezmiernie dzikie, ale i drapieżne, i biada strzelcowi, któryby się znalazł pośród całego stada tych złośliwych zwierząt.

Zszedłszy ostróżnie na niższą gałęź, już podniosłem karabin i wziąłem na cel, gdy nowy przedmiot zwrócił mą uwagę i odrętwił przerażeniem. Pekari znajdował się od nas o jakie pięćdziesiąt kroków, a o dwadzieścia dalej ujrzałem inne drapieżne zwierzę, które wybiegło z gęstwiny i czając się zbliżało ku pekari. Nie większe było od cielęcia, ale nogi miało krótsze, całe ciało było pokryte sierścią ciemno rudą, wyjąwszy szyi i piersi, które były białe. Uszy miało proste, krótkie i czarne, głowa zaś jak i cały skład ciała, wyraźnie wskazywały że zwierzę to należeć musi do obszernej rodziny kotów. Tak, niepodobna się było mylić: mieliśmy przed sobą kuguara, czyli lwa amerykańskiego!

Wyznaję, że poraz pierwszy, od czasu przybycia w dolinę, uczułem przestrach. Pekari był straszny tylko na ziemi, ale na drzewie nic nam zrobić nie mógł, gdy tymczasem kuguar łaził po drzewie jak wiewiórka, a walka z nim była więcej aniżeli wątpliwa.

Tymczasem kuguar podszedłszy do zajętego łupem pekari tak cicho, że ten ani domyślał się grożącego niebezpieczeństwa, jednym susem przesadził przestrzeń oddzielającą, i pochwyciwszy swą ofiarę za gardło, kwicząc w niebo głosy, zażartą z nią rozpoczął walkę. Ta ostatnia jednak nietrwała długo: zmożony pekari padł na ziemię, a kuguar łapczywie krew jego żłopał.

Możebym i odważył się w tej chwili wsadzić mu w łeb kulkę, bo walka znacznie obu zapaśników ku nam zbliżyła, gdy dziwny szmer rozległ się w lesie. Usłyszał go widać kuguar, bo porwawszy ciało pekari za szyję, zarzucił je lekko na grzbiet i miał się do odwrotu. A szmer tymczasem wzmagał się, przybliżał, i za nim kuguar zdołał zrobić kilka kroków, ujrzeliśmy wypadające z lasu całe stado pekari. Było ich ze dwadzieścia kilka sztuk, zanim kuguar zdołał się zorjentować, już otaczały go do koła groźne zwierzęta, wydając przeraźliwe głosy i grożąc ostremi kłami.

Kuguar widząc, że obciążony swą ofiarą nie da sobie z niemi rady, opuścił ją, a rzuciwszy się na najbliższego ze swoich napastników, w mgnieniu oka obalił go na ziemię. Ale w tejże samej chwili kilkadziesiąt kłów wbiło się w jego boki, które się wnet zabarwiły własną jego krwią. Walka stawała się okropną: Kuguar szarpał, kąsał, obalał swoich przeciwników, ale te coraz groźniej koło niego się ściskały. Parę razy podskoczył w górę, chcąc przesadzić to groźne koło, ale i pekari nie pozostawały w bezczynności i czepiając się jego boków, znowu pośród siebie ściągały. Wreszcie kuguar zdobył się na ostateczny wysiłek—jednym susem przesadził stado pekari i—o zgrozo—wskoczył na drzewo, na którem znajdowaliśmy się ukryci!

Położenie nasze stało się okropnem: tuż nad nami połyskały okropne oczy kuguara, który w jednej chwili mógł się na nas rzucić, pod drzewem zaś roiły się pekari, szarpiąc korę, kopiąc ziemię kopytami, gryząc drzewo. Gdybyśmy się odważyli zleść na ziemię, w mgnieniu oka by nas rozszarpały.

Co począć? kuguar jednak był dla nas niebezpieczniejszy, bo pekari, dopókiśmy byli na drzewie, nic nam nie mogły zrobić. Kuguara więc przedewszyskiem należało się pozbyć. Umieściwszy Witolda za sobą, posunąłem lufę przez gałęzie i przy

łożyłem broń do oka. Ręka mi drżała... spuściłem cyngiel... rozległ się wystrzał... dym zakrył wszystko... słychać tylko było trzask gałęzi i ryk kuguara. Gdy dym się rozproszył, zajrzałem w dół: kuguar dobywał ostatnich sił walcząc zpekari, które wnet pozbawiły go życia.

Zdawało się że już wszelkie niebezpieczeństwo minęło: czuliśmy z synem tę rozkosz, której się doświadcza po uniknieniu wszelkiego niebezpieczeństwa. Sądziliśmy, że pekari pozbywszy się swego wroga, wnet się rozproszą i wypuszczą nas tym sposobem z oblężenia. Ale radość nasza nie trwała długo: widocznie postanowiły rozszarpać nas w kawałki, jeżelibyśmy wpadli w ich moc, nieprzestawały bowiem szarpać i gryźć drzewo, z coraz bardziej wzrastającą wściekłością. Piękna rzecz, myślałem sobie, jeżeli zechcą nas w ten sposób dłużej oblegać, mamy w perspektywie śmierć głodową.

Poczem, sądząc, że jeżeli zachowamy się spokojnie dadzą nam może pokój, wleźliśmy na sam wierzchołek drzewa i ukryci pomiędzy liśćmi, z paręśmy godzin przesiedzieli. Po upływie jednak tego czasu pekari bynajmniej nie ochłonęły z wojowniczego zapału, owszem widocznie zamierzały trzymać nas w oblężeniu aż do końca. Począłem się niecierpliwić; nasza długa nieobecność mogła zaniepokoić w domu żonę i dzieci. Obawiałem się aby Boleś z Pawłem nie wyszli na nasze spotkanie, nie stali się pastwą pekari. Postanowiłem tedy strzelić parę razy, sądząc, że tym może sposobem ich odstraszę. Zszedłem więc na niższą gałęź, i biorąc na cel, począłem strzelać. Za każdym strzałem, a było ich pięć, padł jeden pekari. Ale pozostałe, zamiast się strwożyć, jeszcze z większą energją atak przypuściły. Już miałem poraz szósty nabijać karabin, gdy z trwogą ujrzałem, że mi jedna tylko kula pozostawała! Wystrzeliłem raz jeszcze, padł jeden pekari, ale bynajmniej nie wpłynęło to na zmniejszenie zażartości pozostałych. Zwierzęta te zdawały się pogardzać śmiercią.

Nie było więc nic innego do czynienia, jak wlazłszy znowu na szczyt drzewa czekać cierpliwie nadejścia nocy, która, spodziewaliśmy się, iż uwolni nas z oblężenia. Zaledwieśmy usiedli na gałęź, gdy uczuliśmy zapach dymu, który kłębami wydobywał się z pod drzewa i zupełnie zasłaniał przed naszym okiem zażarte zwierzęta. Widocznie kłak z karabina spadł na mech i zapalił takowy. Dym walił prosto na nas, tak, że byliśmy zmuszeni przenieść się co rychlej na inną gałęź. Ztąd ujrzeliśmy napastników naszych zebranych opodal w kupę i trwożnie na ogień poglądających.

— Tym przynajmniej razem, pomyślałem sobie, może się nam uda wyswobodzić od tych napastników, gdy się trochę jeszcze oddalą, będziemy mogli uciec zakryci dymem.

Jakoż, już zamierzałem zstąpić na niższą gałęź, aby ztamtąd w upatrzonej chwili skoczyć na ziemię, gdy zdało mi się, ze słyszę z daleka szczekanie psów. Tak, to były widocznie psy, a Boleś i Paweł muszą pewnie im towarzyszyć. A w takim razie co się z nimi stanie?... Uniknąż spotkania ze stadem pekari?... Myśl ta była okropną... Przytłumiwszy oddech w piersi, przysłuchiwaliśmy się z Witoldem szczekaniu psów, które coraz bardziej zdawały się zbliżać... Wreszcie i głosy ludzkie obiły się o nasze uszy. Wątpliwości nie było, że Boleś i Paweł śpieszą nam na pomoc.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZEMYSŁ ZWIERZĄT
w budowaniu gniazd i mieszkań.

Przyroda troskliwa o zachowanie bytu zwierząt, obdarzyła je władzą duchową niższego rzędu, zwaną *zmyślnością* czyli Instynktem. Mogą one, pod przewodnictwem tej władzy wykonywać pewne czynności trafnie i w sposób zawsze *jednostajny*. Do takich należy urządzanie mieszkań i budowanie gniazd dla przyszłego potomstwa; przemysł zaś z jakim w tym względzie postępują, zasługuje na podziwienie i pilną uwagę badacza.

Przejrzawszy wszystkie gromady królestwa zwierzęcego przekonamy się, że doskonałość i przemysł w budowaniu gniazd, zostaje w stosunku odwrotnym, wielkości i siły zwierzęcia. Dla tego w gromadzie zwierząt ssących, tylko drobniejsze gatunki, szczególniej z rodziny szczurowatych, zakładają gniazda z pewną starannością. Zwierzęta drapieżne i w ogóle wszystkie odznaczające się siłą lub wzrostem, poprzestają na prostych legowiskach, usłanych bez wszelkiej sztuki, byle tylko w miejscach ustronnych. Toż samo ma miejsce między ptakami, bo kiedy gniazda drapieżnych i innych większych gatunków, nie odznaczają się doskonałością swojej budowy, to przeciwnie mniejsze ptastwo, przyszłe swych piskląt schronienie z dziwnym przemysłem i sztuką buduje, drobniejsze zaś i słabsze owady, przemysł ten do wyższego jeszcze stopnia doskonałości posuwają. Tak to Przyroda, brak siły i środków obrony, wynagradza równie szacownym darem wygórowanego instynktu, bez którego istoty słabe i bezbronne, na ciągłe zasadzki nieprzyjaciół, na niepogodę, zbytnie zimna lub upały wystawione, musiałyby uledz zagładzie.

Z pomiędzy zwierząt *ssących* odznaczają się kopaniem nor podziemnych, *Borsuki*. Spokojne te zwierzęta żyją samotnie, w zacisznych, leśnych okolicach. Nory ich mają dwa wyjścia, zdala jedno od drugiego, bo niekiedy o kroków 30. położone, zwykle ku południowi; ciągną się ukośnie pod ziemią i schodzą się z sobą w kotlinie głębokiej 4 do 5 stóp, stanowiącej właściwe mieszkanie czyli gniazdo, i wyścielonej suchemi gałązkami, sianem i mchem. Wszystkie te materjały znosi borsuk do otworów nory a potem pyszczkiem wpycha je aż do gniazda. Pracę tę odbywa zwykle w nocy, lecz jeżeli przed ukończeniem jamy, psy ją wyśledzą, to Borsuk zasypawszy wnijście ziemią, sam ucieka. Niekiedy nora składa się z 2 lub 3 piętr, a kanały prowadzące do gniazda, bywają prawie na 7 stóp długie. Łatwo pojąć że urządzenie takiej jamy, wymaga niemało pracy i wytrwałości, osobliwie kiedy się zdarzy grunt kamienisty. Borsuk lubi ochędóstwo i gniazdo swoje utrzymuje w wielkim porządku. Dziwnym instynktem wiedziony Lis, chcąc opanować gotową już norę, wnijście do niej zanieczyszcza cuchnącym moczem swoim, którego Borsuk znieść nie może, i tym sposobem prawego właściciela wypędza z legowiska.

Komu dostało się w udziale mieszkać w pięknych podtatrzańskich okolicach, a lubi używać przechadzki w pogodne poranki wiosny, ten bezwątpienia widział nieraz zwierzątka wielkości wiewiórki, tylko mniej zgrabne, o wielkich główkach i krępych tułowiach; wesołe jednak i rzeźwe. Wschodzące słońce budzi je ze snu i wywołuje z nór na zielone wzgórza, jedne pasą się miękką trawką, inne rozciągnięte na słońcu przyjemnego używają wczasu, inne nakoniec wyprawiają pocieszne pląsy. Zawsze jednak ostrożne i czujne, od czasu do czasu podnoszą główki, strzelają oczami, nastawiają uszy, dla przekonania się czy im jakie niebezpieczeństwo nie grozi, a za najmniejszym do tego pozorem, do nor swoich uciekają. Są to *Bobaki*, w niektórych okolicach *Świszczami* i *Mruczkami* zwane; w stanie bowiem spoczynku i zadowolenia mruczą, przestraszone zaś,

głośno świszczą. Nory kopią bardzo głębokie; zwykle do tej roboty zbiera się po kilkanaście zwierzątek, osobliwie jeżeli ziemia którą rozkopywać mają, jest bardzo trudna i kamienista; przeciwnie w ziemi miękkiej wydarza się, chociaż rzadko, że każdy Bobak kopie dla siebie oddzielną norę. W jednym i drugim razie kopią bardzo długie, ukośnie w dół skierowane przejście, którego zewnętrzny otwór umieszczają zawsze na pochyłości jakiegokolwiek wywyższania, tak aby woda spływająca z góry, nie zalewała nory. Pod ziemią to przejście dzieli się na kilka rozgałęzień stosownie do liczby zwierzątek w norze mieszkających, każde rozgałęzienie kończy się osobnem gniazdem wyścielonem wewnątrz bardzo starannie, miękkiem i czystem sianem. W twardym gruncie niekiedy jedno podziemne przejście kończy się 20 a niekiedy 40 gniazdami. Nory bywają dość obszerne, a ziemia z nich wyrzucona tworzy na miejscowości przez Bobaków zamieszkiwanej spore kupki, zdaleka widzieć się dające.

Na obszernych stepach Ukrainy, w gub. Półtawskiej, znajdują się zwierzątka, około 7 cali długie, podobne nieco do myszy, ogonki mają długowłose i tylne nogi bardzo długie, skaczą więc zwinnie i dla tego *Skoczkami* albo *Zajączkami ziemnemi* się zowią. Przesiadują w norach które bardzo zręcznie kopią przedniemi łapkami, używając przytem pomocy zębów, najwięcej jednak do poruszeń, naprzód pomagają im nogi tylne, które w czasie kopania to zginając to wyprostowując, silnie naciskają ziemię. Nory Skoczków składają się z głównego chodnika, prowadzącego do komory; to przejście nie prowadzi na zawsze ale służy tylko za schronienie kiedy zwierzątku podczas budowania gniazda, zagrozi niebezpieczeństwo.

Ślepcy, zwierzątka mające ciało wszędzie równe, walcowate, bez ogona, bez zewnętrznych uszów, całkiem pozbawione oczów, także śladów ich na zewnątrz nie ma, znajome na Rusi pod nazwą: *Ziemskich szczeniąt*, prowadzą życie podziemne; na zimę jednak nie zasypiają. W najzimniejszej nawet porze roku, przygotowują głęboko w ziemi, około krzaków i drzew gniazda które wyścielają miękkiemi korzonkami roślin.

Gniazda naszych *myszy domowych* i nory które w mieszkaniach ludzkich kopią, każdemu aż nadto są znajome, żaden materyał, choćby najtwardszy nieostoi się przed ostrym zębem tych szkodliwych zwierzątek, przegryzają drzewo i kamień; napróżno więc byłoby zalepiać otwory wapnem lub gliną, tylko domięszawszy szkła tłuczonego można je odstręczyć, kaleczą sobie bowiem pyszczki i zaprzestają toczyć nory. *Myszy leśne* kopią nory o dwóch lub trzech wyjściach, z których jedno prostopadłe, a jedno lub dwa ukośne; przed otworami nigdy nie zdarza się widzieć wyrzuconej z nich ziemi. *Myszy polne* urządzają mieszkania swoje podziemne także w bardzo prosty sposób, lub gnieżdżą się pod stogami siana i zboża. Jednego tylko gatunku myszy gniazdo zasługuje na uwagę, a mianowicie myszy *Żniwiarką* zwanej; to małe, rdzawo żółtawej barwy zwierzątko, niemające jak inne współgatunkowe, odrażliwej woni, odznacza się zdolnością łażenia po najcieńszych nawet łodygach traw, których chwyta się ogonkiem; korzystając z tej swojej zręczności, zawiesza gniazdo na źdźbłach zboża lub gałązkach krzaków, dość wysoko po nad ziemią. Gniazdo takowe ma kształt owalny, jest bardzo kunsztowne z delikatnych traw uwite i do gniazda Sikory podobne, niewielki otwór z boku służy za wnijście, dla samicy która po wykarmieniu piskląt, przesiaduje wraz z samcem w podziemnych norach.

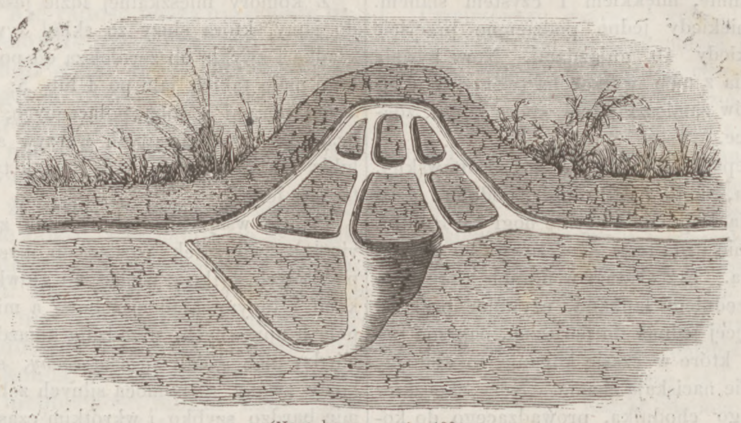
Susły znajdujące się obficie na polach i stepach Podola mieszkają także pod ziemią, równie jak *Slamstry*, Skrzeczkami i Chomikami zwane. Te ostatnie żyją samotnie. Każde individuum ma swoją norę, składającą się zwykle z kilku komórek, ta z nich ktora wyłącznie służy za mieszkanie, ma kształt okrągły, bywa niekiedy 8 cali a niekiedy na stopę w średnicy szeroka, wewnątrz wygładzona i miękkiem sianem usłana. Z tej komory wychodzą na powierzchnią ziemi najmniej dwa kanały; jeden ukośny, drugi prostopadły; pierwszy ciągnie się zygzakiem pod kątem dość pochyłym do poziomu; Chomik zaczyna go kopać naprzód i wynosi przez niego ziemię wykopywaną przy urządzeniu komory; tym sposobem przed otworem zbiera się kupka ziemi, po której zawsze poznać można gniazdo chomika; tenże kanał służy za wyjście z nory, w miejscu gdzie przytyka do gniazda.

Z komory mieszkalnej idzie jeszcze kanał prowadzący do jamy, która służy za skład żywności, jest sklepiona, gładka i zwykle obszerniejsza od pomieszkania, stare chomiki mają takich jam po 4 lub 5; młode mniej, niewielkiemi norami z sobą połączonych; do nich to nagromadzają zapasy rozmaitych warzyw a szczególniej grochu, lubią też inne ziarna, żyto jednak tylko w koniecznej potrzebie jedzą.

Prawie wszystkie gatunki tak zwanych *Polników* (Arvicola): zwierzątek bardzo do myszy z powierzchowności podobnych, tylko z większemi główkami, krótkiemi ogonkami i innym składem zębów, a mieszkających zwykle na polach uprawnych, urządzają gniazda podziemne. Z pomiędzy nich *Polnik ziemmo-wodny*, szczurem wodnym niekiedy zwany, za pomocą silnych zębów i łapek, kopie ziemię bardzo szybko i wkrótkim czasie może wygrzebać nory, ciągnące się na znaczną przestrzeń. Urządza on w ziemi wielkie gniazdo w pewnej odległości od wody, na stóp kilka pod powierzchnią ziemi, wyściela je wewnątrz sianem i innemi miękkiemi przedmiotami. Od tego gniazda ciągną się ku brzegowi zwykle 3 lub 4 podziemne przejścia, kończące się dopiero pod wodą; od gniazda rozchodzą się także w różne strony inne nory, niekiedy na kilkaset kroków długie, ale niewięcej nad pięć pod powierzchnią ziemi wygrzebane. — Polniki *myszami gospodarnemi* zwane, znajdujące się w Syberyi i Kamczatce, odznaczają się odbywaniem dalekich wędrówek, tudzież nagromadzeniem na zimę zapasów żywności do jam, z wielkim przemysłem wykopanych; dla wykonania zaś tej roboty, zbierają się po parze a niekiedy w większej liczbie. Właściwe ich mieszkanie czyli gniazdo ma okrągłą, spłaszczoną formę, prostopadła jego średnica wynosi 3 do 4 cali, pozioma zaś około stopy. Wewnątrz usłana jest miękkiem sianem i leży bardzo niegłęboko pod ziemią, a czasem nawet na jej powierzchni. Od gniazda ciągną się w różne strony, pokrzywione kanały, służąc zwierzątku za wyjście; po bokach zaś w pewnej odległości znajdują się nierównie większe jamy przeznaczone na składy żywności i połączone z gniazdem, podziemnemi chodnikami. Składów tych czyli magazynów bywa zwykle dwa, w norach zaś służących za pomieszkanie licznej rodzinie, bywa ich po ośm niekiedy. W miejscach gdzie myszy gospodarne znajdują obfite pożywienie, liczba nor tak jest wielka, że niebezpiecznie jeździć tamtędy, konie bowiem ustawicznie załamują się w jamy. Urządzeniem mieszkań i nagromadzeniem zapasów zwierzątka te zajmują się od wiosny do końca jesieni, szczególniej zaś pracowitością odznaczają się samice, przeciwnie samcy przez lato prowadzą zwykle życie tułacze i nie mają stałych mieszkań, dopiero w jesieni i na wiosnę biorą udział w pracach samic. Pokarmem myszy gospodarczej są korzonki i nasiona rozmaitych roślin, orzechy cedrowe i t. p., wszystko to należycie oczyściwszy, ciągną do jamy idąc wtył po wykopanych w darninie rowkach. W jamach należących do jednej rodziny, znaleść można od 20 do 30 funtów, tych zapasów. Kamczadale zabierają je niekiedy na własny. użytek, zostawia-

jąc jednak pewną część nietkniętą, a prócz tego w opróżnione magazyny kładą suszoną ikrę ryb, są bowiem tego mniemania, że gdyby zwierzątko ujrzało się zupełnie z zapasów ogołoconem, zadałoby sobie śmierć z rozpaczy!

Lemingi, mieszkające w północnéj Europie, szczególniej w Szwecyi i Norwegji, także odznaczające się dalekiemi wędrówkami, kopią nory dla gniazd swoich. Nory te bywają niekiedy proste a niekiedy rozgałężają się na 2 lub 3 kawały, które znów na dwa inne się rozchodzą. Chodniki nie są głębokie, lecz bardzo długie; nory mają w poprzecznem przecięciu zwykle około półtrzecia cala, i mieszczą się w niewielkich kupkach ziemi. Właściwe gniazdo jest w samym końcu nory i ma kształt próżnego wewnątrz walca z otworem na jednym końcu, wyścielone rozmaitemi porostami i trawami.



(Nora borsucza str. 190.)

Z rodziny *zająca*, prócz *królika* o którym każdemu wiadomo, że się gnieździ w podziemnych norach, są inne jeszcze gatunki prowadzące podobny rodzaj życia, mianowicie, *Szczekuszka* i *Sianostawiec* w Syberyi, i *Ogotona* w stepach Mongolii. Pierwsza z nich kopie nory pod krzakami, otwory ich znaleść można po śladach ziemi, kupkami na zewnątrz wyrzucanéj. Nory te zwykle mają dwa wyjścia zewnątrz otwarte, łączące się pod ziemią w jeden wspólny kanał na końcu którego znajduje się właściwe gniazdo. Niekiedy z jednego mieszkania idą więcéj jak trzy kanały łączące się między sobą pod ziemią rozmaitemi poplątanemi z sobą chodnikami.

Sianostawiec (Lagomys alpinus) obiera zawsze mieszkania na wysokich górach, kopie jamy niegłębokie, często nawet robi gniazda w rozpadlinach skał lub dziupłach drzew. Zwierzątko to odznacza się przemysłem zbierania siana na zimę, które ustawia w stożki. Siano to składające się z najczystszych i najpożywniejszych roślin, sianostawcy suszą naprzód rozściełając na kamieniach, a potem składają w kopce wysokością wzrostowi człowieka niekiedy wyrównywające a u spodu do 8 stóp w średnicy szerokie. Miejscowi mieszkańcy i podróżni, nie małą z tych zapasów odnoszą korzyść, używając ich w potrzebie na karm bydła i koni.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)



(Nora bobaków str. 191.)

ROZMAITOŚCI.

— **Okropne skutki głodu.** Z Algierji piszą co następuje: Na ulicy znaleziono dziewczynkę napółumarłą z głodu i zimna. Na zapytanie gdzie są jej rodzice i dla czego ją porzucili, dziewczynka odpowiedziała: „Rodzina moja mieszka na wsi, w szałasie; przez cały miesiąc jedliśmy mięso ludzkie; wieczorem ojciec mój czatował na przechodzących i zabijał ich dla tego, żeby nakarmić nas ich mięsem, które w kotle gotował. Ale ostatniemi czasy nikt nie przechodził, koło naszego szałasu, i usłyszałam ojca mówiącego matce, że jutro mię zarżnie i zje. Wiedząc, że niezawodnie spełni to co powiedział matce, uciekłam w nocy od swoich rodziców.” Śledztwo przeprowadzone w tej sprawie, potwierdziło zeznania dziewczynki.

— **Zmyślność kota.** Do jakiego stopnia dojść może *zmyślność kota* dowodem jest następny wypadek, i wypisujemy tu z Kółka Domowego: W pewnym klasztorze kot zmiarkował, że po dwukrotnem dzwonieniu zawsze dają obiad. Biegł też co prędzej aby otrzymać swoję porcją; lecz pewnego razu właśnie o tej porze był przypadkiem zamknięty w jednej celi, musiał zatem czekać dopóki zajmujący ją zakonnik nie wróci. Skoro tylko został oswobodzony, pobiegł do refektarza po swój obiad, lecz zapomniano mu go zostawić. Nagle odgłos dzwonka dał się słyszeć w sposób tak natarczywy, że się zbiegli wszyscy zakonnicy i przekonali się, że to Maciuś dzwoni, upominając się o swój obiad. W innym znowu klasztorze kucharz przyrządzając pewnego dnia obiad, spostrzegł, że brakowało porcyi mięsa jednego z zakonników. Sądząc, że popełnił omyłkę, zaradził temu jak mógł, ale gdy nazajutrz ponowił się ten sam wypadek, powziął niejakie podejrzenie i postanowił wyśledzić sprawcę kradzieży. Zapewniwszy się dnia trzeciego że mięso podzielone jest na zwykłą ilość porcji, zabierał się do przyrządzenia obiadu, gdy odgłos dzwonka zmusił go wydalić się z kuchni. Za powrótem spostrzegł, że brakowało znowu jednej porcji. Nazajutrz odgłos dzwonka znowu dał się słyszeć, wtedy właśnie kiedy z natężoną uwagą rachował porcje mięsa. Tą razą wychylił tylko głowę z kuchni, zobaczył że kot domowy zakrada się przez okno, aby schwycić jedną porcję. Domyślił się więc, że to on także, wspinając się łapkami i trącając o sznur dzwonka sprawiał dzwonienie. Zakonnicy uradzili żeby pozwolić kotowi do końca życia wykonywać ten figiel, który zwabiając do klasztoru mnóstwo ciekawych, przysparzał im znaczny dochód.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.